

„Śmierć człowieka pracy”

Zachowanie wiarygodności filmu dokumentalnego przy poetyckim sposobie prezentowania rzeczywistości

Michael Gławogger w filmie „Śmierć człowieka pracy” prezentuje wycinki świata, które w świadomości wielu z nas zdają się w ogóle nie istnieć. Miejsca, których istnienie w czasach wszechobecnej globalizacji wydaje się na tyle nieprawdopodobne, że okrutne nianie mogłyby straszyć nimi niegrzeczne dzieci przed powrotem rodziców.

W filmie dokumentalnym możemy wyróżnić niemalże tyle samo zróżnicowanych sposobów prezentowania rzeczywistości, co w filmie fabularnym. Jego tradycyjne pojmowanie uznawało wzorową dokumentalistykę filmową za całkowicie bezautorską. Przedstawiony w filmie dokumentalnym obraz świata nie był pojmowany przez pryzmat wypowiedzi autorskiej, ale przez pryzmat możliwości rejestracyjnych kamery. Reżyser-dokumentalista pełnił wówczas rolę realizatora, a jego film wydawał się tym lepszy, im bardziej pozbawiony był ingerencji twórcy. Taki stan rzeczy utrzymywał się do końca lat pięćdziesiątych XX wieku.

Film Gławoggera wyróżnia niezwykle poetycki sposób przedstawienia rzeczywistości. Reżyser pozbawia obraz odautorskiego komentarza, ale wypełnia go emocjami poprzez światło, muzykę czy kadry. Warto zastanowić się czy w obliczu wymienionych zabiegów nie mamy do czynienia z zakrzywieniem prawdziwego wymiaru problemu, który został zobrazowany w filmie.

Choć technika zastosowana przez Gławoggera byłaby nie do przyjęcia w przypadku aktualności wspomnianego wcześniej tradycyjnego pojmowania filmu dokumentalnego, to należy pamiętać, że „Śmierć człowieka pracy” narodziła się w zupełnie nowej rzeczywistości. W rzeczywistości, w której – wprowadzone przez Johna Griersona – pojęcie „twórczej interpretacji rzeczywistości” zostało ściśle powiązane z tworzeniem filmów dokumentalnych. To – pozornie lakoniczne – określenie koncentruje w sobie kluczowe dla dokumentalizmu napięcia - między rzeczywistością a jej interpretacją oraz między powierzchnią a głębią. Powierzchnia utożsamiana jest tu z materiałem, punktem wyjścia, który dzięki odpowiedniemu opracowaniu umożliwia widzowi dostrzeżenie głębi, czyli wszystkiego tego, co niewidoczne gołym okiem. Twórca filmu dokumentalnego zawsze pamięta o swoich zobowiązaniach wobec rzeczywistości i na nich opiera swoje wybory. Artyzm, który dostrzegamy w „Śmierci człowieka pracy”, nie prowadzi do zniekształcenia rzeczywistości, lecz stanowi efekt niezwykle zmysłu obserwacji i umiejętności odczuwania rzeczywistości przez reżysera. To wszystko nie prowadzi z kolei do odrealnienia świata przedstawionego, ale do stworzenia jego pogłębionej analizy.

„Śmierć człowieka pracy” stanowi rodzaj kina bezpośredniego (direct cinema) – rejestruje zdarzenia, które dzieją się tu i teraz, dopuszczając minimalną ingerencję reżysera. Nurt ten pojawił się w kinie na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku, kiedy lekkie przenośne kamery oraz sprzęt do rejestrowania dźwięku stawały się coraz bardziej dostępne. Nowe technologie pozwoliły reżyserom na śledzenie biegu wydarzeń i

docieranie do trudno dostępnych miejsc, przez co często określane są mianem ciemna-verite (kino-prawda). Idealny przykład takiego filmu stanowi niewątpliwie „Śmierć człowieka pracy”, w którym reżyser nie waha się podążać za bohaterami do węglowego szybu bądź na szczyt góry.

Zniewalająca gra światła, zachwalane przez krytyków filmowe zdjęcia czy towarzyszące poszczególnym scenom partie muzyczne wywołują u niektórych odbiorców wrażenie nadużycia inscenizacji w filmie Gławoggera. Choć ciężko określić czy poszczególne sceny filmu zostały zainscenizowane, warto pamiętać, że zarówno odbiorcy danego obrazu filmowego, jak i jego twórcy są w stanie zaakceptować pewną dozę inscenizacji, która służy przekazaniu znaczących informacji. Tego typu reżyserowanie zdarzeń nie oznacza zepchnięcia filmu dokumentalnego w stronę fikcji. Nawet jeśli Gławogger przy tworzeniu swojego filmu poprosił górnika o zejście do szybu, to wciąż przedstawia nam obraz czynności, które należą do codziennych, rutynowych zadań bohatera. Tego typu zabieg nie deformuje prawdziwości przekazu, tak samo jak muzyka, która nie zmienia atmosfery filmu, a jedynie ją potęguje.

Michael Gławogger zdołał odnaleźć niezwykle ciekawy temat w niezwykle ciekawych ludziach – takich, którzy już sami, poprzez swój niespotykany heroizm, są w stanie zakrzywić rzeczywistość. Reżyser nie musi ingerować w świat przedstawiony, nie musi go komentować. Tworzy swój film na bazie najprostszej formy kategoryjnej, prezentuje kolejne wycinki świata wykorzystując wciąż ten sam schemat i nie nudzi widza. Z jednej strony opowiada w sposób ogólny o losie współczesnych robotników, z drugiej zaś zagłębia się w liczne mikro historie, dzięki którym dostrzegamy nie tylko ich ciężką pracę, ale również sposób w jaki każdy z nich idzie przez życie i w jaki patrzy w przyszłość. W moim mniemaniu Gławogger doskonale wykorzystał wspomniane wcześniej napięcie między rzeczywistością a interpretacją i stworzył film bardziej prawdziwy niż mogłoby nam się zdawać.

„33 sceny z życia”

W „najpiękniejszych” i powszechnie akceptowalnych filmach śmierć jest szybka i heroiczna. Grono przyjaciół dookoła. Kochająca rodzina. Niekończąca się ścieżka dźwiękowa z utworami wyciskającymi łzy już od pierwszej sekundy.

Małgorzata Szumowska nie zrobiła filmu pięknego. Zrobiła film, z którym wiele osób nie było, i często wciąż nie jest, w stanie się zgodzić, a zarazem pierwszy film o życiu i umieraniu, który ja sama uznałam za wiarygodny.

„33 sceny z życia” obejrzałam właśnie po raz czwarty. Chciałam o nim napisać, a o filmach najlepiej pisze się „na świeżo”. Po raz czwarty skrawki naiwnego idealizmu, które siłą rzeczy pozostawiają po sobie wszędybolskie hollywoodzkie produkcje, zostały zamiecione pod dywan.

Nie wątpię, że istnieją podniosłe, szybkie i heroiczne śmierci. Wątpię, że są one regułą. Wierzę, że ludzie potrafią być tak silni, że nikt nie jest w stanie dostrzec jak przeraźliwie słabi mogą się czuć. Nie wierzę, że są na tyle dumni by nieustannie tę siłę wykorzystywać.

Prawda jest taka, że kiedy umiera bliska nam osoba nie zawsze zachowujemy się racjonalnie. Są bowiem chwile, obrazy i słowa, które zmieniają wszystko. Nawet nas. Jesteśmy tylko ludźmi – krzyczymy, tańczymy, upijamy się, zdradzamy i śmiejemy. Nie możemy znieść obecności umierającej osoby, a potem próbujemy utopić wyrzuty sumienia. W życiu nie można przewinąć taśmy filmowej, pogłośnić ścieżki dźwiękowej, a koniec jednego życia nie oznacza końca tych, które znajdowały się dookoła. Życie to nie film i musi toczyć się dalej.

„33 sceny z życia” – największy międzynarodowy sukces od czasu Krzysztofa Kieślowskiego. Film o przemierzaniu kolejnych etapów. O upadaniu i powstawaniu. O dorastaniu. O jasnych i ciemniejszych zakamarkach ludzkiej osobowości. Warto.